



Wietrzny ocean.

Fragment powieści „Kto się boi oceanu”.

Fragment powieści "Kto się boi oceanu".

[b]Twierdzę z przekonaniem, że gdyby człowiek był racjonalny, to wypadając za burtę w sztormie, powinien by umrzeć w locie.

Wiele rzeczy wymyśliliśmy od czasu, gdy po raz pierwszy przyszło nam do zakutych neandertalskich łbów, żeby popływać po morzu. Radary i sonary, stresy i GPS-y, trójkątne sfery i komputery – wszystko przydatne wtedy, gdy morze nam na to łaskawie pozwala. Bo gdy założy protest, gdy wścieknie się naprawdę, pokaże nie filmowy ze specjalnych efektów, lecz rzeczywisty gniew, wtedy wszystkie nasze wynalazki tracą kompletnie znaczenie. Pozostaje odwieczny pojedynek – statek, ster i człowiek, nagi wobec natury. Jedyną skuteczną bronią dla człowieka pozostaje to, co mu natura dała: rozum i doświadczenie. Tak naprawdę nie liczy się nic więcej. Żaden ludzki wynalazek nie jest zdolny stanąć do pojedynku z naturą. Tę zdolność posiada tylko to, co sama natura stworzyła.(...)

Gdy przyszło to, na co czekałem, przejąłem ster. Wygodnie unieruchomiony na siedzisku usiłowałem sobie wyobrazić, co bym przeżywał na pokładzie, w targanym kipiela kokpicie. Mogłem zapomnieć o wcześniejszych kombinacjach, które jak zwykle okazały się do niczego. Sytuacja zdawała się wyjaśniać. Zakładałem, że centrum groźnego niżu wędruje równoległe do nas, kursem około 300°, czyli podręcznikowym. Wiatr północno-wschodni pozwalał sytuować położenie jachtu na północ od jego toru. Jeśli nas wyprzedzi, a my utrzymamy kurs, nasze drogi rozejdą się bezpiecznie. Szybkość postępowania niżu jest zawsze wyższa od szybkości jachtu, poza tym niże mają tendencję skręcania ku północy. Oznaką tego będzie wiatr odchodzący w lewo. Chyba że... Chyba że centrum jest na linii kursu.

Według tabeli Beauforta, brakowało trochę ponad 10 węzłów, by mieć prawo użycia określenia „huragan”. Ale można używać określenia „tai-fun”. W tabeli nie jest to wzbronione. I zachichotałem: kiedy cię zarzynają, jakie ma znaczenie nazwa tego kozika?

Dawno doszedłem do zupełnie beznadziejnego wniosku, że sposobem na bezpieczne sztormowanie jest ten, którego nigdy nie zdoła się osiągnąć w pełni – żeglowanie z prędkością fali na jej grzbiecie. Z dwóch rzeczy, które jacht musi nieustannie, raz po

raz pokonywać w sztormie, fale są znacznie groźniejsze od wiatru. Stała żegluga na czole fali zapewniłaby niemal zupełne bezpieczeństwo, może nawet komfort. Jest to niemożliwe nie tylko dlatego, że fale są nieobliczalne. Załamują się, dzielą i łączą z sobą, gasną, rozmywają się, powstają w nieoczekiwanych miejscach lub udają powstawanie, nakrywane i tłumione przez inne, większe czy dłuższe. Swoją brzydką rolę spełnia wiatr, dmuchając z różną siłą, nadając jachtowi zająkliwą szybkość. Sam jacht także się buntuje, nabierając przechyłów, odchodząc od wiatru albo ostrząc na wiatr. Mówiąc po prostu, żaden komputer nie byłby w stanie tych wszystkich czynników przewidzieć na tyle wcześnie, by je uwzględnić w decyzjach przenoszonych na ster. Lepiej lub gorzej, ale jedynie człowiek może z tym sobie poradzić. Instynkt człowieka, jego doświadczenie. Jeżeli poradzi sobie – uchodzi za zwycięzcę. Jeżeli nie – winnego brakuje. (...)

W dzienniku zapisaliśmy wiatr 60 węzłów, fale siedmiometrowe. Byliśmy przerażeni: barometr osiągnął 946 hektopaskali. Najpewniej nie mieliśmy odwagi, żeby to skomentować. Wiatr skręcił nie w prawo, na południe, lecz w lewo, ku północy, potem zawrócił. Jacht trzymał się doskonale mimo głębokich przechyłów. Kilka razy został położony na burcie, całkowicie zalany wodą. Musiały nas dopaść wyjątkowo strome fale. Było to już w dzień, kolor wody w bulajach czarniejszy od sumienia bandyty. Myślałem, że tak ciemno może być tylko na dnie, gdzie ocean łączy się z kosmosem. Najgorsze wciąż mieliśmy przed sobą.

(...)Wielki sztorm to groza szarości. Szare niebo zbyt niskie, zbyt bliska szara głębia, tysiącorękie brodate olbrzymy w konwulsjach szarości i czerni, na nowo wciąż rozstrzyganych, nadchodzą szarymi furiami, czernią okrywane, ale ta czerń jest szara, i biel jest szara, i każdy kolor szary. I euforia spadania, beznadziejność wspinaczki – i jacht jest także szary. I najjaśniejsze piany zdają się szare, brudne, jakby kto niewyżętą ścierką chlastał po szarej twarzy. Nie strach, nie przerażenie, to nierealność świata, poszarzałego w strachu, pokurczonego w gniewie, pazurami drze po plecach, najeża sztywny kręgosłup. Wzrok nieustannie wędruje, nic nie ogarnia, niczego nie pamięta, niczego też nie rozumie, bo nic nie wydaje się ważne. Jakbyś był w trzewiach smoka, gdzie wrą piekielne enzymy, co wszystko trawia szarością. Świadomość przenosi się w głąb i ruchy człowieka stają się trudne do pojęcia nawet dla niego samego.

Doświadczenie przemienia człowieka w automat, w najsprawniejszą maszynę wszechświata. Wszelkie wynalazki są zaledwie próbą, by człowiekowi dorównać.(...) 935 hektopaskali. Jedyna liczba stabilnie obojętna w chwili odczytu. Na logu – 2, 3, 5, nawet 20 węzłów. Wiatromierz – czasem 10, czasem ponad 100. Przy sterze ciężka praca i dziki wysiłek, wskaźnik 200 stopni, z odchyłem o 5, o 10. To dobrze, nawet świetnie. Lecz nagle skłon na burtę i wszystko diabli biorą: 180, 160, bywa 110 stopni. Kompas oszalał czy ja?

Potem sam, bez pomocy wraca na to, co być miało, 200. Cholera, znów się udało!

Wracajcie, diabły, do piekła!

Można obetrzeć mokre czoło.(...)

– Trzeba rzucić apsel! – wrzasnąłem.– Koniecznie! Apsel!

Jacht wyprzedzał rozbuchane grzbiety fal, ze zbytnią prędkością spadał z załamujących się urwistych stoków, na łeb w doliny. Kładł się tam zupełnie płasko, pogrzebany pod wściekłą kotłowaniną kipieli, w bulajach pojawiała się straszliwa czerń ssącej otchłani. Nawet gdy był wyprostowany, nie odróżniałem pojedynczych fal od strony dziobu ani rufy. Wiedziałem, że strata masztów to kwestia czasu, jednej złośliwej fali. Może rzucenie apsla złagodzi przechyły, pozwoli na to, by fale nas wyprzedzały.(...)

Wreszcie trafiłem na potrzebny pakunek. Podobnie na ślepo, wierzgając i stękając, wkładałem swoją piankę.

Zapiąłem zamek, rzepy, sprawdziłem rutynowo, założyłem parciane szelki pasa bezpieczeństwa. Wciągnąłem na łeb kominiarkę z kompletu, wysokie obcisłe buty. O rękawicach zapomniałem.(...)

Wszystko tonęło w bulgoczącej szarości, wszystko było nieważne, zaledwie przybliżone. Wskazania przyrządów, kompasu, rozsądku. Nie miałem wątpliwości, że cokolwiek zrobię, może być decydujące. Dla mnie i dla jachtu. Ale człowiek nigdy o tym decydującym nie wie na pewno. Czy to jest właśnie to, czy coś innego. We łbie huczało mi tak samo jak na gołym pokładzie.

– Zamknijcie za mną właz! Kiedy wyskoczę do kokpitu, najpierw będę wczepiał pas bezpieczeństwa, włazu nie zdążę zamknąć sam.

Było to oczywiste niby wygrana w totka. Mogło się zdarzyć, że czeka mnie pech, trafię akurat na falę łamiącą się nad pokładem. I nic nie zdążę zrobić, nawet zaczepić pasa. W pół sekundy, w ćwierć, wiek wcześniej nim zdołam to pojąć, znajdę się wiele metrów od jachtu. Neptun osobiście popuka mnie w czoło. Swoim wspaniałym widelcem.

Na wszelki wypadek łyknąłem porcję Glenn Livet, chciałem na koniec mieć w gębie jakiś przyjemny smak, bo sól z wodorostami nie bardzo mnie zachwycała. Wiedziałem, że tam na górze opiję się do rozpuku.(...)

Wpadłem do kokpitu z zamkniętymi oczami, prawą ręką chwyciłem stalową poprzeczną linę, rozpiętą nad pokładem, lewą zatrzasnąłem na niej karabińczyk z pasa. Zdawało mi się, że jestem szybszy od myśli, ale jacht położył się w tym czasie na burtę, schował się pod grzywaczem. Potworny wodospad ułożył mnie poziomo, zawisłem więc prostopadle do pokładu, najpierw na prawej ręce, palonej piekielnym bólem, potem jednak na pasie. Tak, byłem szybszy o pół sekundy. Pół sekundy – i wieczne kołysanie. (...)

Gdy jacht się wyprostował, trzasnął mnie w brzuch zrębem kokpitu, dołożył siodełkiem sternika. Wczołgałem się, wciągnąłem na podłogę, na greting w kokpicie, włożyłem oba

łokcie pod stalową linę. Nic jeszcze nie zdołałem zrobić, zaledwie udało mi się nie utonąć, ale musiałem odpocząć. Nie miałem pojęcia, że strach tak męczy.

Śmieszne było pomyśleć o sztormie na Ławicy Bahamskiej albo na Great Bank. Takie sztormy Bóg zsyła dla harcerzy, by zdobywali sprawności. Nigdy więcej nie określałem ich jako huragany.(...)

Przyszła kolejna fala, kolejny przechył ku przepaści za burtą. Łokcie nie wytrzymały, zawisłem w przelewającej się wodzie jak spławik w wodospadzie, przytrzymany żyłką. Gdy fala przeszła, jacht nie zdążył się wyprostować przed nadejściem następnej. Wyższa była i dłuższa, twardsza i bardziej wściekła, zabrakło mi tchu w płucach. Otworzyłem oczy, zobaczyłem czerń bez cienia poświaty. Przemknęła myśl, że się utopię wisząc metr nad pokładem. Wiedziałem, że za moment zacznę tracić świadomość.

Spadłem, nogi zaplątały się w linkach sztormrelingu, zwisłem głową w dół do kokpitu. Odczułem słabość, zwymiotowałem. Glenn Livet, żółć i sól. Pod brzuchem kabestan szotowy. Wtedy przyszła chwila wytchnienia. Pojaśniało, mogłem ujrzeć pofałdowaną rozległą dolinę o barwie zgniętego mięsa, dymiące plamy jaskrawych pian, dalej wznoszącą się ścianę. Ta niepojęta, błyskawiczna powolność. Rozwiane włosy wariata, biegnącego z armatą pod pachą.

Wariat ważył miliony ton. Jeszcze zdołałem złapać końcówkę jakiegoś szota, owinąć wokół dłoni. Znów zrobiło się czarno. Wariat wpadł prosto na mnie, wystrzelił z tej armaty. Myślę, że wszystko się zgadza, tak bym się właśnie czuł w środku wybuchającej bomby.

(...)Po którejś z rzędu nauce pływania i fruwania ulokowałem się na klapie bakisty, z kolanami pod naprężoną liną. Gorączkowo pracowałem, by zwolnić roler apsla.

Daremnie. Żagiel wypełniony po brzegi huraganem jak miska gęstą zupą, ani myślał się zwijać. Ogarnęła mnie rozpacz. Jasne było, że nie dam rady spuścić go fałem po bezanmaszcie w dół i opanować na pokładzie. Niewiele ponad 5 metrów kwadratowych, zwijane wiatrem w najdzikszych konwulsjach – starczy, by zanieść mnie do Ameryki. Wszystkie możliwości przeleciały mi przez głowę, tylko jedna dawała szansę. Po prostu zwolnić szot apsla, niechaj wiatr go porwie na strzepy, niech go diabły mokre zabiorą. (...)

Przesunąłem się w kierunku knagi z obłożoną na niej końcówką szotu apsla, ale nic nie zdążyłem zrobić. Wydało mi się, że pod jachtem otworzyła się dziura do samego piekła. Spadałem, wszystko runęło w dół.

Uderzenie było okropne, jak bym trzasnął o bruk. Łokciami i kolanami. Głową, udami, brzuchem. Natychmiast runęła na mnie niagara z mokrych kamieni. Czułem, że jacht kładzie się pod nią z łomotem, dzikim hałasem, że napręża się pas bezpieczeństwa, szelki wcinają się w ramiona. Gdybym mógł, trzymałbym się zębami, lecz niczego nie zdołałem pochwycić. Szarpnęło mną z porażającą siłą, z taką samą wstrzymało. Potem

poczułem się lekko, swobodnie – i już wiedziałem, że nie jestem na jachcie, który pozostał daleko od unoszącej mnie fali.(...)

Nie, strach nie zbudził się wcale, za szybko to się działo. Gdzieś w środku pojąłem, że chyba mnie już nie ma, że wszystko skończone, nic nie warto robić. Ale byłem zajęty wierzganiem, ochroną płuc przed wodą. Kretyńskim zdziwieniem, że niby dokąd lecę, dlaczego jestem spocony, czemu jest tak ciemno.

Nagle złapałem coś w obie dłonie, kurczowym chwytem szaleńca. To była wyrwana stójka sztormrelingu, w który się zaplątałem. Przez plecy przeleciał żar, jakby je batem rozcinano, potem fala przeszła. Wisiałem za burtą, na stalówkach sztormrelingu. Mój ciężar, zwiększony impetem wodnej kaskady, wyrwał kilka stójek, wyłamał je i pogiął. Nie musiałem sprawdzać, pas bezpieczeństwa puścił. Zerwał się, puścił, bo jakiś dureń bez wyobraźni ustalił normę dla huraganu. A przecież nawet Bóg tego nie ustalił.

Wisiałem tak, wsparty plecami o linki, zaczepiony pazurami o zrąb fałszyburty.

Wiedziałem, że nikt mi nie pomoże, sam nie zdołam wdrapać się na pokład. W życiu i śmierci nie zdołam.

Spojrzałem w górę, ku pokładowi. Jacht nie miał bezanmasztu. Raczej miał kawałek. Reszta wisiała jak ja, na stalówkach, na olinowaniu, nieco poniżej. Kikut ułożył się wzdłuż burty, huśtał się jak taran. Pomyślałem, że gdy jacht się pochyli i przyjdzie fala od rufy, ten taran mnie zabije. Nic więcej nie pomyślałem, bo rufa zaczęła się wznosić. Jacht zatoczył się pijacko, ruszył do przodu stęknąwszy ze zgrozy. Ujrzałem zdumiony, że ściana załamała się przed kasztem, wślizgnęła pod kadłub i tylko wielkie jęczory wylizały pokład. Przechył był dostateczny, by złapać rękami kabestan, położyć się wzdłuż kokpitu. Niewiarygodne, jak szybko owinąłem końcówkę pasa wokół liny asekuracyjnej. Jakim cudem zmieniłem karabińczyk na solidną szkle? Kiedy nadeszła kolejna twarda, kamienna fala, kolumna bezanmasztu znalazła się na poziomie pokładu. Topiąc się, łykając wodę, zacząłem rozpaczliwie mocować ten kikut linami do knag i kabestanów. Pozostawić go za burtą nie było można, rozbiłby jacht. Nie miałem pojęcia, gdzie są nożyce do stalówek.

Po apslu nie został żaden ślad. Po bezanmaszcie nędzny strzępiaty ułomek. Resztką topsztagu wiewała na grotmaszcie. Jacht zdawał się dziwnie pusty.

Znacznie się uspokoił bez apsla i bezanmasztu. Zdecydowanie zwolnił i choć grzywacze dopędzały go częściej, nie każdy się nad nim załamywał. Uznałem za możliwe, że zwiększona wyporność rufy i dziobu wpływała na zmniejszenie oporów kadłuba, dlatego fale łatwiej wchodziły pod stępkę. Później doszedłem do wniosku, że grube maszty w połączeniu z wysoką wolną burtą same z siebie zapewniały „Cinderelli” sterowność. Kliwer na dziobie stabilizował kurs i położenie wobec fal – apsel był nieszczęściem.

Pracując na deku, w ogóle nie myślałem. Bałagan olinowania, rozbryzgów, poświaty i ciemności to niezły tłumik umysłu. Kiedy skończyłem z bezanmasztem, chciałem

zwinąć się w kacie i umrzeć. Mimo otwartych oczu niewiele widziałem, bolało mnie całe ciało, wszędzie, każdy strzępek pulsował bólem. Przez nogi, ręce przechodziły kurcze, bolesne, paraliżujące. Miałem szczęście, że nie dopędził nas jakiś groźny „dziad”, w rodzaju tego, który złamał maszt.

Tkwiłem w kokpicie pod osłoną kasztelu, niezdolny do mrugnięcia powieką. Pas bezpieczeństwa skróciłem wcześniej, owinałem wokół asekuracyjnej stalówki, pod którą wcisnąłem kolana. W tej pozycji zalewające jacht grzywacze mogły mnie wprawdzie utopić, ale nie mogły stamtąd wypłukać, chyba nieżywego.

Wtedy wymyśliłem, żeby koniecznie nosić w piance metalową piersiówkę z brandy albo rumem. Bo w tej ciepłej wodzie, mimo grubej pianki, zacząłem trząść się z zimna. Długo się zastanawiałem, czy zdołam przesunąć tyłek pół metra do włazu. Cholernie daleki wydawał się ten właz.

Tkwiąc głęboko w kokpicie jak lis zapędzony do jamy, robiłem to samo co lis, trząsłem się i bałem. Gdy rufa pędziła w górę, widziałem przed sobą pulsujące plecy odchodzącej fali, z czarnymi plamami niby worki węgla. Dolinę skupiającą wszystkie ryki i grzmoty, wygiętą w łuk, o którym wiedziałem, że za moment wystrzeli. Po każdym strzale wzbijały się w powietrze te dzikie ptaki–piany, rozszarpywane przez wiatr.

Powtarzałem sobie, że jeśli się tak boję, to po cholerę tu jestem, czy ktoś mnie zmuszał do rejsu? Wódka tak samo szkodzi, ale kto jej nie pije.

Jacht szedł już równiej, zaprzestał myszkowania, wielkie fale wynosiły go w górę, mniejsze rozbijały się u burt, okrywając kadłub wściekłą bielą. Porywy wiatru wpychały oddech z powrotem do gardła, chwilami zamiast płuc miałem balon. Każdy haust powietrza napełniał usta wodą.

Musieli mnie obserwować przez bulaj, ponieważ właz otworzył się we właściwej chwili. Zwalilem się w korytarzyk z łomotem podciętej sosny, dopiero leżąc odkryłem, że jęczę przy każdym wydechu.

Wybiegła Laura, krzyknęła. Rzuciło nią o ściankę i też zajęczała, jakby mi wtórując. Oczy miała jak ziemniaczane placki, dobre, choć przypalone.

– Prawa noga – chrypiałem. – Kurcz. Wal pięściami, wal z całych sił.

Waliła kantami dłoni o wiele za słabo, to była pieszczota, nie walenie. Kurcz łamał mi łydki i uda, zgrzytał moimi zębami. Przyglądałem się dłoniom, szczególnie prawej. Marnie wyglądały obie, pomarszczone, porozcinane, ale krew ledwie się sączyła. Słona woda działa jak jodyna, za to bardziej boli. Bolało piekielnie, rwało i szczypało. To był znak, że żyję. Wolałbym inne znaki.

– Bezanmaszt – bełkotałem. – Poszedł za burtę. Fala. Przywiązałem liną.

Przecież było słyhać, jak tłucze o kasztel, o pokład. Rzuczał się niby rekin tłuczony bosakami. Może źle zrobiłem? Nie istniała możliwość, by go unieruchomić. Pomyślałem leniwie, że trzeba tam wyjść jeszcze raz, z nożycami do cięcia stalówek. Złamany bezanmaszt trzeba wywalić za burtę, utopić w oceanie. Albo oplątać linami, wybrać na

kabestanach. To drugie trudniejsze i mniej skuteczne, nawet ryzykowne. Zgadnijcie, na kogo padnie?

– Wódy – chrypnąłem. – Gorzoły. Albo utnijcie mi łeb. Bez łba można żyć, bez gorzoły nie można.[/b]